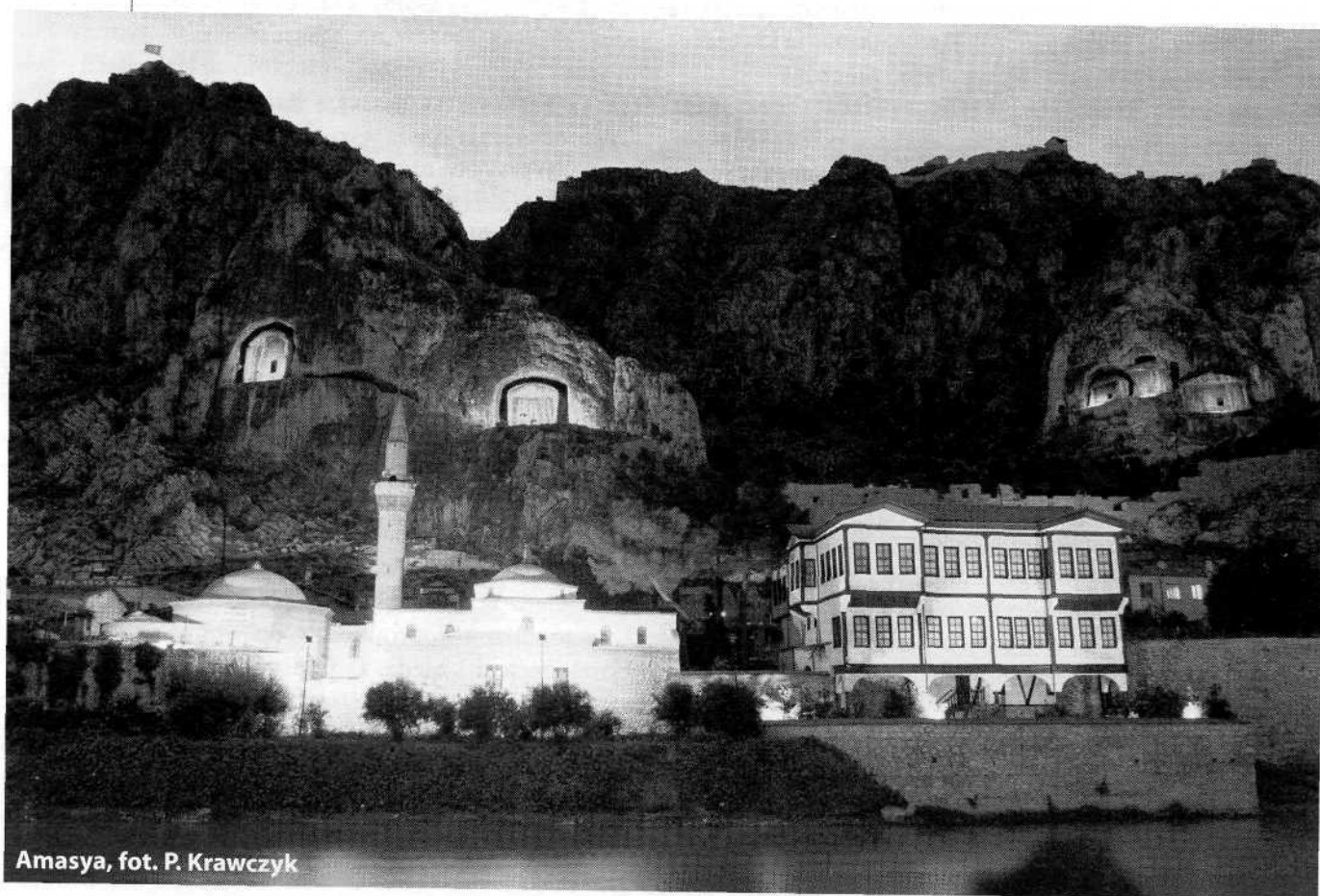


Nie taka Turcja

czyli wyprawa MKT na Górę Ararat i nie tylko (cz. II)

Szóstą, zakończoną sukcesem, wyprawę na Ararat poprowadził Polak – Józef Chodźko – filomata i filareta, służący jako topograf i geodeta w wojsku rosyjskim na Kaukazie.



Amasya, fot. P. Krawczyk

DR N. MED. PIOTR PAPRZYCKI

INSTYTUT MEDYCyny WSI

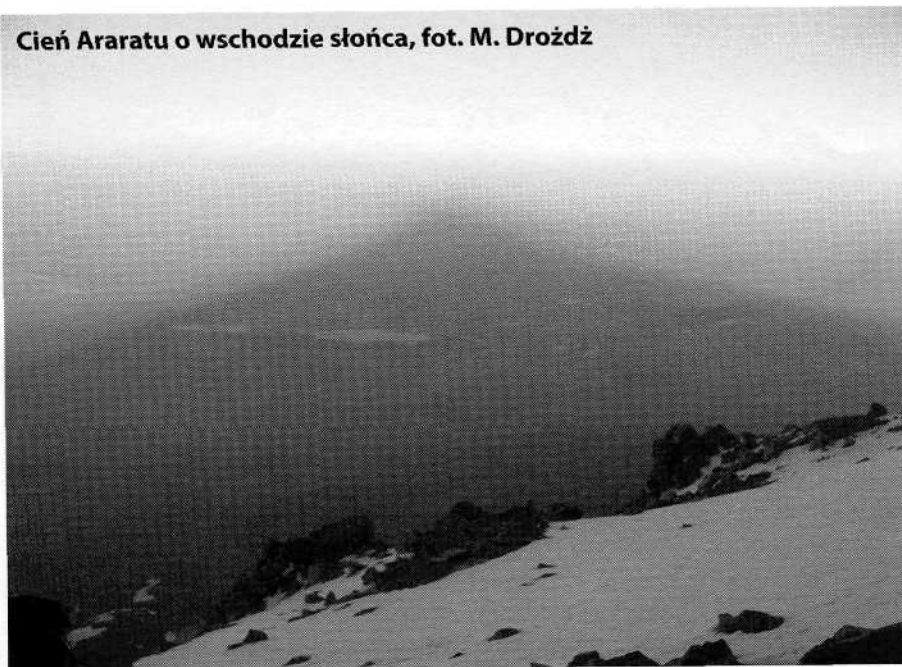
DR HAB. PAWEŁ KRAWCZYK

KATEDRA I KLINIKA

PNEUMONOLOGII, ONKOLOGII I ALERGOLOGII

UM W LUBLINIE

Cień Araratu o wschodzie słońca, fot. M. Drożdż



W 1850 roku przez sześć dni dokonywał pomiarów geologicznych i meteorologicznych w rejonie szczytu Araratu. W 1889 roku na szczyt Araratu dotarł inny Polak – Ludwik Młokosiewicz – leśnik i miłośnik przyrody, który swoje zainteresowanie Kaukazem zrealizował poprzez zaciągnięcie się jako oficer do tyfliskiego pułku grenadierów. W tamtych czasach w jego wyprawie nie byłoby już nic nadzwyczajnego, gdyby nie wzięła w niej udział pierwsza kobieta, która niemalże dotarła do szczytu Araratu – córka Młokosiewicza – Julia oraz zaledwie 14-letni syn podróżnika – Konstanty Młokosiewicz.

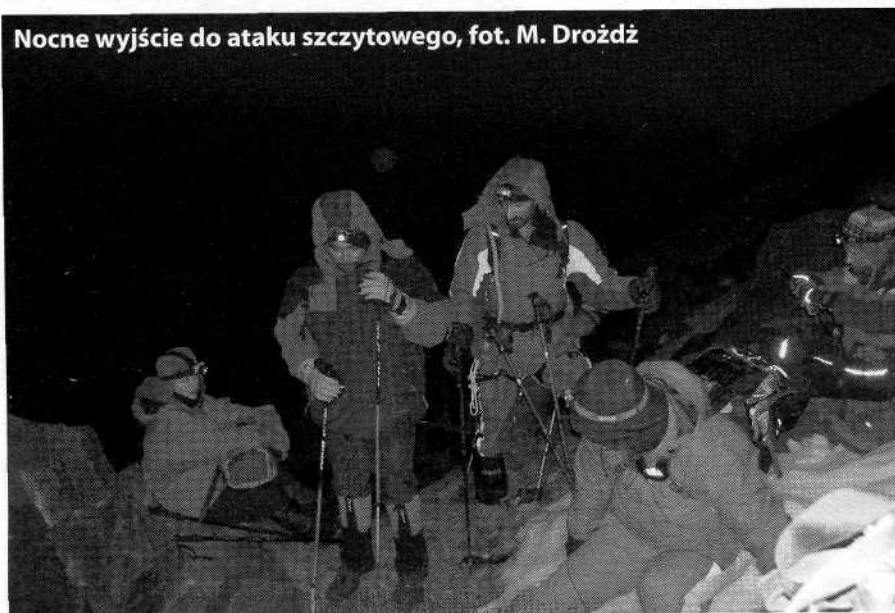
Zachodnie Plateau Araratu to jedno z najbardziej tajemniczych miejsc na świecie. To właśnie tutaj, tuż pod wierzchołkiem Araratu, miała osiąść Arka Noego. Amerykanin George Greene w 1952 roku pracował jako inżynier górnictwa we wschodniej Turcji. Pewnego dnia przelatując helikopterem nad Zachodnim Plateau spostrzegł coś,

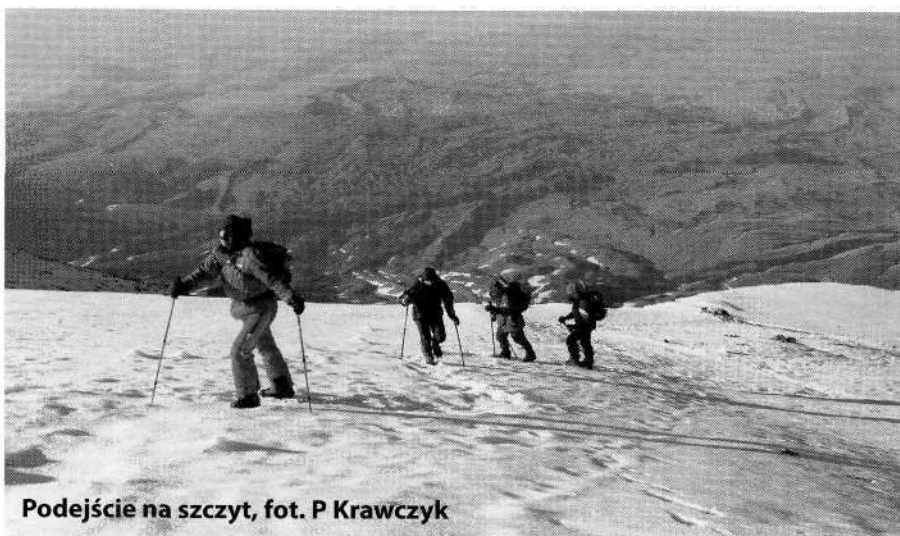
co wyglądało jak wielki statek. Przez kilka minut robił zdjęcia, niektóre z odległości zaledwie trzydziestu metrów. Po powrocie do Stanów pokazał fotografie znajomym i próbował zorganizować wyprawę na Ararat. Bezskutecznie. Kilka lat później Green został zamordowany w Gujanie, a zdjęcia arki przepadły, chociaż około trzydziestu osób twierdzi, że je widziały. Równie nieprzekonujących dowodów na istnienie arki dostarczyły wyprawy Navarry z lat 1952-1969. Francuski przemysłowiec Ferdynand Navarra

odnalazł w rejonie szczytu Araratu fragmenty drewna, które miało być żywicznym drewnem budującym burty arki. Niestety badanie metodą węgla C^{14} , dowiodło, że drewno to nie miało więcej niż 500 lat. W kwietniu 2010 roku agencje prasowe na świecie obiegrała informacja o sensacyjnym odkryciu fragmentów arki przez piętnastoosobową wyprawę z Chin i Turcji, działającą w ramach *Noah's Ark Ministries International*. Odkrywczy wiek drewnianej struktury, którą odkryli na wysokości ponad 4000 m n.p.m., oszacowali na ponad 4 800 lat. Niestety najwyraźniej zaistniała kolejna mistyfikacja, gdyż informacje o tym odkryciu zniknęły z mediów tak szybko jak się pojawiły.

Droga do podnóża kopuły szczytowej Araratu nie nastęrcza żadnych trudności. Jednak nasi kurdyjscy przyjaciele cierpią wyraźnie z powodu choroby wysokościowej. Michał, który kilka tygodni wcześniej zdobył Tubqual w Atlasie Wysokim, prze do przodu, jakby poruszał się na poziomie morza. A to już przecież wysokość 5 000 m n.p.m. Odciażył nawet naszych towarzyszy przejmując od nich linę. Na samym Plateau warunki zmieniają się dia-

Nocne wyjście do ataku szczytowego, fot. M. Drożdż





Podejście na szczyt, fot. P Krawczyk

metralnie. Zrywa się huraganowy wiatr, który utrudnia poruszanie się. Wiatr przekracza 100 km/h i wyrwa bryłki lodu, siekąc boleśnie w odsłonięte fragmenty twarzy. Murat podejmuje niezrozumiałą decyzję o związaniu się liną. Nie mamy uprząży i lina wiąże cały dziewięcioosobowy zespół w pasie archaicznym węzłem, nawet nie skrajnym tatrzańskim, a zwykłym supłem. Lina napina się na wietrze i utrudnia poruszanie. Ostatnie 200 metrów przed szczytem stają się trudną przeprawą. Jeśli ktoś wspinał się w Alpach wie, że poruszanie się tak wielkim zespołem jest trudne i niebezpieczne. Poślizgnięcie jednej osoby może spowodować upadek wszystkich. Ararat jest na szczęście tak łatwą górą, że nie istnieje większe niebezpieczeństwo, ale

wspinaczka zgodnym rytmem dużej grupy na wysokości ponad 5 000 m n.p.m. jest niemożliwa. W takiej sytuacji każdy powinien poruszać się własnym tempem, co uniemożliwia łącząca nas lina. Z drugiej strony Murat wykazuje się dużą odwagą, wprowadzając całą grupę na szczyt. Trzeba przyznać, że lina w tym przypadku mogła odegrać rolę psychicznej pewności bezpieczeństwa. W tak ekstremalnych warunkach około godziny 8.00 wszyscy kładziemy się na szczycie walcząc z wiatrem, który lada chwila może nas z niego zrzucić. Krótkie gratulacje wykrzykujemy na całe gardło żeby przekrzyczeć wycie wiatru. Siedzący bliżej siebie podają sobie ręce, obejmujemy się, ale radości nie widać spod kominiarek i okularów zasłaniających całą twarz.

Piotrek pozuje przyklęknięty na kolana tuż poniżej szczytu z flagą MKT przywiązaną do czekana i szaleńczo łopoczącą na wietrze, jakby znajdował się tuż poniżej wierzchołka himalajskiego ośmiotysięcznika. Przez północny stok Araratu przewalają się fale lodowej zamieci, które nie pozwalają nawet spojrzeć w kierunku Armenii. Na koniec, wyciągając splecione fragmenty liny i ku rozpaczy naszych kurdyjskich przyjaciół wchodzimy do miejsca, gdzie znajduje się puszcza z zeszytem na wpisy wejść oraz najwyższy punkt Araratu i całej Turcji. Szczyt zdobyty. Wszyscy na wierzchołku. Można zacząć zejście w doliny.



Piotr Paprzycki z flagą MKT na szczycie Araratu, fot. P. Krawczyk

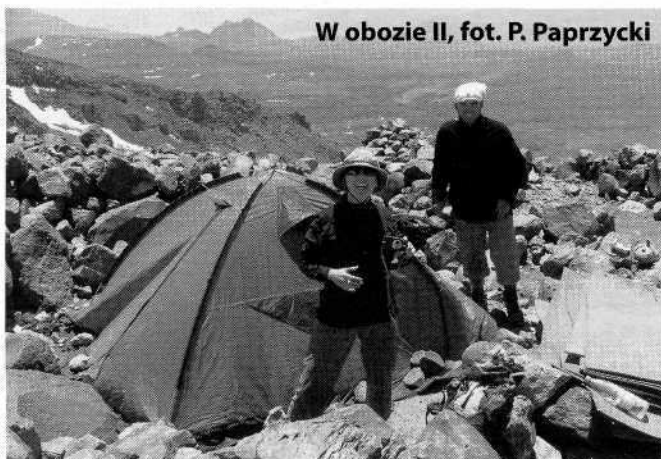


Na szczycie Araratu, fot. M. Nowak



Wszyscy na szczycie Araratu, fot. P. Krawczyk

Powrót ze szczytu nie jest już tak ekscytujący. Zmęczenie daje znać o sobie i tempo zejścia znacznie spada. Małymi grupkami z Muratem i Goską na czele pokonujemy piargi, w których zespalaający kamienie lód zdążył się roztopić w narastającym upale. Jest to jeden z bardziej niebezpiecznych momentów na każdej górze. W nawet stosunkowo łatwym terenie nie trudno o nieuwagę, gdy narasta zmęczenie i wszyscy odczuwają rozluźnienie po zdobyciu szczytu.



W obozie II, fot. P. Paprzycki



W obozie II po zejściu ze szczytu, fot. P. Krawczyk

Po blisko 10-godzinnej akcji docieramy do obozu II. Teraz przychodzi czas na spokojne gratulacje, uśmiechy i radość z osiągniętego szczytu. Tego dnia nie dane nam jednak odpocząć. Murat zarządza

odwrot z góry. Przekonał się widać wreszcie do naszych możliwości i wie, że trudy wspinaczki nie były dla nas tak obciążające, jak dla jego kurdyjskich kolegów. Zwijamy obóz II i mozolnie schodzimy do obozu I. Słońce świeci niemiłosiernie, a o cieniu nie ma nawet co marzyć. Na całej górze nie rosną drzewa. W obozie I zrobiło się tymczasem gwarno. Docierają kolejne bardzo dobrze wyekwipowane grupy, ale też indywidualni turyści. Jest trójka Czechów, którzy na własnych

plecach wnoszą swój dobytek. Wynajęli tylko przewodnika, który załatwił im pozwolenie o wątpliwej wartości. Samotny Niemiec właśnie zszedł ze szczytu z całym ekwipunkiem w plecaku i teraz czeka go trudna

wyposażone są w kilka namiotów sypialnych, namiot kuchenny, krzesła i stoły turystyczne oraz wszelkie inne wygody mające umilić im pobyt. Tak zorganizowana wyprawa może kosztować aż 2 000 euro. Nawet Murat nie akceptuje takiego stylu zdobywania Araratu. Mówi o sobie jako o góralu, który kocha naturę i nie potrzebne są mu wygody, które zostawił w dolinach.

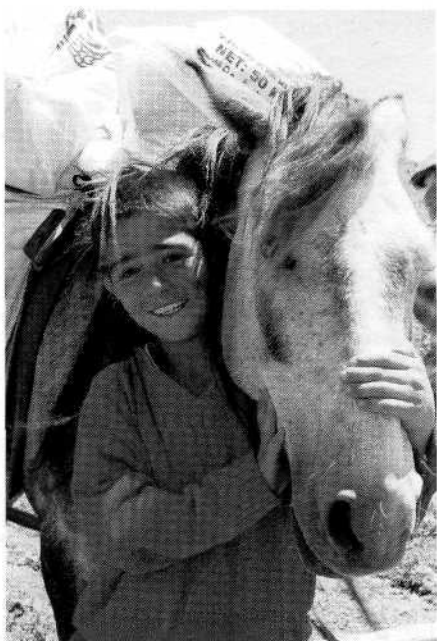
Ostatni etap do kurdyjskiej wioski, z której wyruszyliśmy zaledwie trzy dni wcześniej, pokonujemy w nieruchomym rozgrzanym powietrzu i w słońcu, którego promieni można niemal dotknąć. W jednej z wiosek Gośka udziela porad lekarskich, w innej znowu biegną do nas dzieci. Rozdajemy roztopione słodycze. Malownicze czarne i białe namioty otoczone murkami z kamieni, oczka małych stawów oraz owce na perciach wśród wysuszonych traw są zasadniczym elementem krajobrazu podnóży Araratu. Wydaje się, że zejście ze szczytu nie będzie miało końca, choć wszyscy, może poza Mariuszem, który ma początki udaru cieplnego, są jeszcze w niezłej formie. Wtedy pojawia się, jak widmo nie z tego świata, landrover prowadzony przez Saima. Zeszliśmy na wysokość około 3 400 m n.p.m. Łatwo policzyć, że pokonaliśmy blisko 1 000 metrów podejścia i 1 800 metrów zejścia. To niecałe 3 km w pionie.

Trudy wspinaczki nie mogły zakłócić nam świętowania sukcesu. Podniecony Musa biegnie do kuchni przyrządzać kebab i pogania nas na kolację. Na stole pojawia się polska soplica, a obok miejscowa rakija. Piotrek chwyta butelkę, żeby nalać Muratowi, ale ręka zawisa w powietrzu.

Ale wy przecież muzułmanie, to jak to tak z alkoholem, może nie chcecie?

Alkohol jest dla ludzi, a chrześcijanie to co, też nie powinni pić, a piją? – odpowiada Murat z niejakim oburzeniem.

przeprawa z wojskiem. On nie ma pozwolenia. Są też grupy turystów z Europy Zachodniej, przy których kręci się tłum kucharzy, przewodników, poganiaczy koni i innych osób obsługujących wyprawę. Te grupy



Nastoletni poganiacz koni na wyprawie na Ararat, fot. M. Nowak

Trzeba przejść do porządku dziennego nad kurdyjską interpretacją Koranu i Biblii. Rzeczywiście Turcję ciężko nazwać krajem abstynentów. Alkohol piją tu jawnie młodzi i starzy. Wydaje się, że pod tym względem Turcja jest już w Europie.

Skoro tak nie lubicie Turków, to dlaczego masz na imię Murat, przecież to tureckie imię. Na przykład sultan Murad.

No tak, masz rację – rozmówca wydaje się trochę stropiony – ale to imię ma też swoje znaczenie w kurdyjskim języku – oznacza życie. A poza tym nie lubimy tego sultana. I wy też pewnie nie; znam te historie z Turkami i Polakami.

Wątpliwe, czy rzeczywiście Murat wszystko wie, ale zrozumiałe jest jego zmieszanie – w końcu jego imiennik odpowiedzialny jest za zabicie polskiego króla w bitwie pod Warną. Nic to jednak nie przeszkadza dalszej zabawie, którą kończy Nuri, ukazując swój talent wokalisty w trójosobowym kurdyjskim zespole muzyki pop. Długo jeszcze tego wieczoru na tarasie restauracji prowadzonej przez Murat Camping, słuchaliśmy pieśni Nuriego i tańczyliśmy kurdyjskie tańce. Nie-

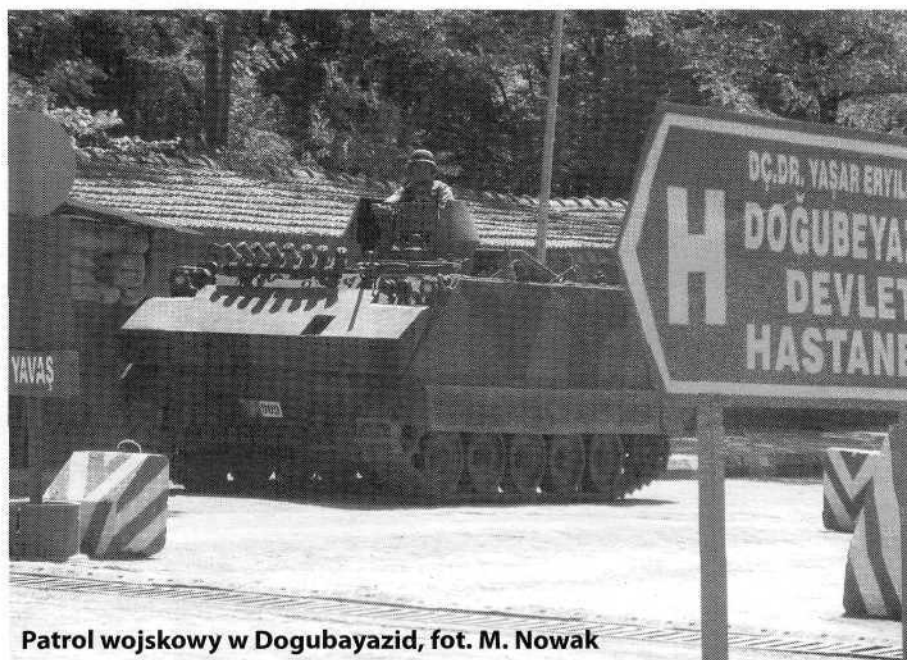


Policyjna blokada podczas demonstracji w Dogubayazid, fot. M. Nowak

zapomniany zostanie jednak nocny widok z dachu naszego domku noclegowego. Nie widać stąd wierzchołka Araratu, ale w dole nocą migoczą światła Dogubayazid. Można siedzieć na skraju dachu, popijać chłodne piwo i godzinami wpatrywać się w te światła i czekać na odległe fajerwerki sztucznych ogni. To kurdyjskie wesela. Te ognie, bezgłośnie rozpryskujące się w dolinach, widzieliśmy też każdej nocy ze zboczy Araratu.

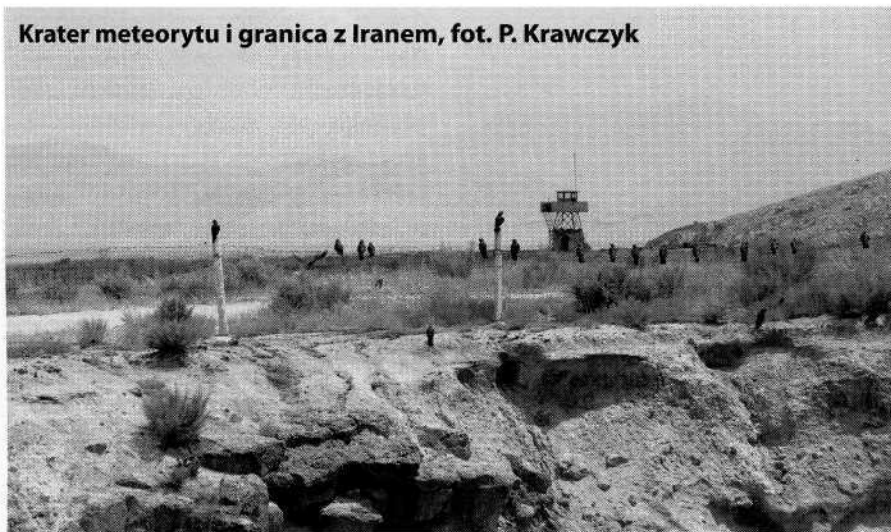
Jeszcze coś na temat arki Noego

Dzień odpoczynku spędzamy w Dogubayazid na objazdowej wycieczce po okolicy. Za radą naszych kurdyjskich przyjaciół odwiedzamy krater meteorytowy w pobliżu odległego o kilkadziesiąt kilometrów przygranicznego Gurbulak. Jest on rzeczywiście dość zagadkowy. Wprawdzie nikt nie widział uderzenia, ale ludzie w promieniu wielu kilometrów słyszeli huk i poczuli



Patrol wojskowy w Dogubayazid, fot. M. Nowak

Krater meteorytu i granica z Iranem, fot. P. Krawczyk



wstrząs, który miał miejsce pewnej nocy w 1892 roku. Mało prawdopodobne wydają się podawane w przewodnikach dane, że ta 30-metrowej średnicy dziura w bazalcie, to drugi co do wielkości krater meteorytowy na Ziemi. Może byłby jednym z głębszych, gdyby usunięto zalegające go 30 metrów mułu, ale przy braku typowego wału uderzeniowego wygląda raczej jak studnia krasowa. Nic dziwnego więc, że niektórzy przeczą jego meteorytowemu pochodzeniu. Okolica to pustkowie, nielicznych turystów obserwują tylko żołnierze pilnujący irańsko-tureckiej granicy oraz stada kawek zasiadające na otaczającym krater drucie kolczastym.

Za to na pobliskim przejściu granicznym atmosfera jest gwarna jak na wschodnim bazarze. Tłum

Irańczyków stojących w kolejce nie sprawia bynajmniej wrażenia przygnębiionych powrotem do ponurej religijnej dyktatury. Nawet zdobiące stronę irańską wielkie plakaty przedstawiające rządzących ajatollahów mają jakiś pogodny charakter. Mariusz i Małgośka kręcą się między ubranymi na czarno kobietami i serdecznie rozmawiają, głównie z występującymi w imieniu kobiet mężczyznami. Zdjęcia? Oczywiście, proszę bardzo.

A my możemy zrobić sobie zdjęcie z wami? – pytają zniecierpliwieni Irańczycy.

Coś takiego. Po raz pierwszy to nam chcą zrobić zdjęcie, a nie odwrotnie. Ciekawy może być ten Iran. Może rzeczywiście doniesienia mediów są dużo przesadzone, jak mówił sympatyczny irański przewodnik wiozący

na wakacje do kraju realnego islamu parę turystów z Węgier. Dziwi całkowita dezynwoltura pograniczników i celników, którzy zdają się w ogóle nie przejmować faktem, że przechodzimy tam i z powrotem, przedstawiając nogi poza białą linię irańskiej administracji. Jesteśmy tu traktowani trochę jak bawiące się dzieci. Można nawet zrobić zdjęcia żołnierzom, tylko bez broni.

A co z tą Arką Noego? O poszukiwaniach Arki na Araracie była już mowa. Arka, o której informa-



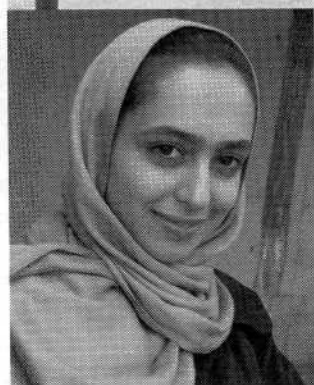
Jedną nogą w Iranie, fot. M. Drożdż

cję wyciągnęliśmy od Musy, nie jest wcale na lodowym szczycie, ale znajduje się tysiące metrów niżej i kilkanaście kilometrów dalej. Cała ta historia to niestety raczej przykład egzaltowanego chciejstwa, jeśli nie świadomej mistyfikacji. Zresztą oceńcie sami.

W poszukiwaniu Arki od początku wieku odbyło się już setki (!) ekspedycji. Jak dotąd najmocniejszymi dowodami materialnymi dysponują jednak zwolennicy tzw. formacji Durupinar, spopularyzowanej przez znanego adwentystę i biblijnego archeologa-amatora w typie Indiany Jonesa – Ronalda Wyatta. Formację Durupinar odkryto przypadkowo w latach 50-tych XX wieku poprzez analizę wojskowych zdjęć lotniczych, obejmujących górskie stoki położone kilkanaście kilometrów na



Granica irańsko-turecka, fot. M. Drożdż



Irańska dziewczyna,
fot. M. Nowak

południowy wschód od Dogubayazit. Ze zdziwieniem zauważono na nich regularne wrzecionowate wzgórze podobne do wielkiego okrętu. Wyatt argumentował, że jego długość odpowiada dokładnie biblijnej Arce, ale kontrowersje wokół wartości łokcia egipskiego powodują, że dokładność ta oznacza w tym wypadku ± 150 metrów. Odnalezione skamieniałe muszle sugerują zalew potopu, ale byłby to potop z okresu kredowego, sprzed 70 milionów lat. Radar geofizyczny, ale też różdżka radiestety miały zarejestrować leżące pod ziemią wręgi okrętowej konstrukcji. Nie stwierdzono jednak drewna, a skałę, która miała być „drewnem skamieniałym” oraz „skamieniałe nity”. Wprawdzie drewno to nie miało słoików przyrostu, ale przecież przed potopem nie padały deszcze, więc nie było przyrostów. Jednak petryfikacja drewna trwa nie tysiące, ale miliony lat. W okolicy, choć w zupełnie innym miejscu, Wyatt natrafił na wielkie kamienie z otworami – zin-

terpretował je jako kotwice Arki. Kamienie leżą wiele kilometrów od domniemanego statku, lecz Noe mógł je przecież zrzucić, kiedy Arka dopłynęła do gór Urartu. Nie muszą to być – jak twierdzą niedowiaraki – armeńskie kamienie kultowe. W każdym razie Wyatt okazał się na tyle przekonujący, że z wielką pompą i w obecności miejscowych władz wybudowano przy domniemanym artefakcie Centrum Turystyczne Arki Noego. Od tamtej pory minęło już 20 lat. Sprawa przycichła i nawet dawni protagoniści wątpią

dzisiaj w biblijne pochodzenie formacji Durupinar. Turystów spotkać tutaj można bardzo rzadko i nie pomaga nic zaangażowanie miłego bogobojnego staruszka Hassana Osera – opiekuna Centrum, który należał do grupy odkrywców Arki. Ekspozyty Centrum to głównie zdjęcia i kilka nieprzekonywujących obiektów z wykopalisk. Ostatecznie warto jednak zobaczyć widok doliny z dziwnym wzgórzem, przypominającym gigantyczną oślekę, nawet, jeśli – jak sądzą geolodzy – jest to tylko blok kredowego wapienia, urwany z wielkim osuwiskiem w epoce lodowcowej. Na otaczających wzgórzach widać strażnice wojskowe, za którymi znajduje się już Iran. Cicho tu i pusto – szkoda, że miejsce to pewnie szybko odepdzie w zapomnienie.

Ararat witał nas zachmurzony, ale zęgnął słoneczny i śnieżny. Teraz było dopiero widać, jak jest olbrzymi i piękny. Gdy Murat popędził na aklimatyzacyjną wycieczkę grupę Estończyków chętnych zdobyć Ararat, my kolejnym autobusem pomknęliśmy na północny zachód Turcji.



Katedra Św. Mądrości w Trabzonie, fot. P. Paprzycki

Kraina Pontu

Wzdłuż czarnomorskiego wybrzeża Turcji ciągnie się wysokie pasmo Gór Pontyjskich, które zatrzymują wilgoć znad morza na swych stokach i nie dopuszczają jej w głąb Anatolii. Tym sposobem powstaje osobna kraina, oddzielona od reszty nie tylko górami, ale i wilgotnym klimatem. Jest to Pont. W miarę jak jedziemy autobusem pojawia się nie widziana dotąd mgła, zbocza zaczynają porastać coraz bujniejsze lasy, robi się bardziej swojsko. Nasz cel to starożytny Trapezunt, a dzisiejszy turecki Trabzon. Przed powstaniem Republiki Tureckiej całe pontyjskie wybrzeże zamieszkiwali głównie prawosławni Grecy – potomkowie kolonizatorów Morza Czarnego jeszcze z czasów antyku. Ludzie ci wytworzyli własną kulturę, a nawet odrębną odmianę greckiego języka. Swoje 5 minut w historii Trebizonda (tak wtedy nazywano miasto) miała po roku 1204, kiedy to Krzyżowcy zamiast iść na pomoc Ziemi Świętej postanowili złupić bogactwa Bizancjum. Utworzono Cesarstwo Łacińskie, a cesarska rodzina Komnenów uszła na wschód, gdzie uznając się za prawowitych spadkobierców Rzymu, stworzyła wokół Trebizondy cesarstwo alternatywne. Przetrwało ono ponad 200 lat nawet wtedy, gdy Konstantynopol już upadł. Imperium Osmańskie wyjątkowo liberalnie potraktowało zamieszkujących te tereny ludzi, pozwalając nawet na funkcjonowanie niektórych klasztorów. Dopiero rzezie i pogromy z lat 1915-1918 i przeprowadzona w 1923 roku wymiana ludności wygnały wszystkich chrześcijan do Europy, a ślady po ich istnieniu niemal zatarto.

Trabzon nie jest już cesarski. W opustoszałej i okaleczonej katedrze Świętej Mądrości wyblakłe freski i resztki posadzki ocalały tylko dlatego, że były zasłonięte dywanami i kilimami, gdy z kościoła uczyniono meczet. W ogrodzie otaczającym świątynię-muzeum tłum turystów psuje historyczny nastrój, ale roztacza się stąd piękny widok na morze i zatokę Trabzonu.

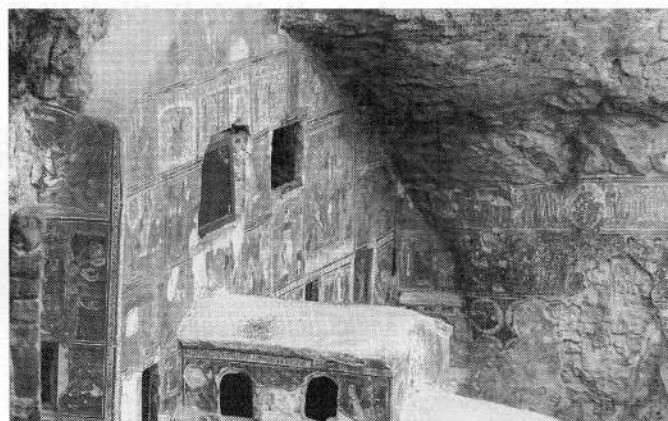
Morze Czarne nadal jest czarne (Kara Deniz). Być może nazywa się tak od czarnego piasku na plażach. Stromo opadające góry, kryjące największe w Turcji plantacje herbaty, nabrzeża portowe i związany z nimi brud sprawiają, że aby zanurzyć się w morzu należy ładnych parę kilometrów wyjechać z Trabzonu. Dopiero za Akçaabat znaleźliśmy plażę nadającą się do kąpieli. Przyzwyczajonemu do europejskich obyczajów plażowiczowi niezrozumiałym może wydać się fakt, że niektóre Turczynki zanurzają się w wodzie niemal całkowicie ubrane (choć bez chustek na głowach), inne natomiast



Klasztor Sumela, fot. P. Krawczyk



Freski w klasztorze Sumela, fot. P. Paprzycki



Skalna świątynia klasztoru Sumela, fot. M. Nowak

zupełnie roznegliżowane. Wydaje się, że po ponad pół wieku laickiego państwa, niechętnego religii muzułmańskiej, niektóre tureckie panie ostentacyjnie demonstrują ubiorami swoją religijność, wychodząc naprzeciw politycznym tendencjom panującym obecnie w Turcji. Trzeba jednak pamiętać, że renesans religii, to zasługa tureckich mężczyzn, którzy znaleźli się w rządzie

Pałac Ishak Pashy, fot. P. Krawczyk



Republiki. Trabzon słynie jednak z wolności obyczajów. Z nieodległą rosyjską Soczi łączą go połączenia promowe. Na pokładzie promów przybywają turyści, biznesmeni, ale też rosyjskie prostytutki, które spotkać można w dzielnicy portowej. Zbłąkany turysta może napotkać trudności w poszukiwaniach hotelu w tej okolicy, jeśli trafi przypadkiem pod niewłaściwy adres.

Nasz hotel jest jednak solidną bazą wypadową w pobliskie góry. Kilkadziesiąt kilometrów w głąb lądu, na wapiennej ścianie okalającej pięknie zalesione doliny, wznosi się najważniejsza atrakcja okolicy – dawny klasztor prawosławny Süme-la. Budowla robi duże wrażenie. Już z dołu, wygląda jak przylepione do skały jaskółcze gniazdo. Wobec dość skromnej bazy zabytków Trabzonu, Süme-la ściąga ogromne tłumy turystów, którzy przepychają się na wąskich schodkach i nieustannie wchodzą w kadr aparatu. Nie dziwi nas już obraz zniszczenia w postaci metodycznie odkuwanych malowideł (szczególnie pastwiono się nad twarzami). Na szczęście niszczycielom nie starczyło woli by sięgnąć wyżej i zachowały się piękne freski Matki Bożej z Dzieciątkiem i Pantokratora. Spod kopuły skalnego

kościół, który częściowo jest naturalną grotą, patrzą na nas rządy świętych, aniołów, bogobojnych rycerzy i cesarskich urzędników, a może i sam cesarz.

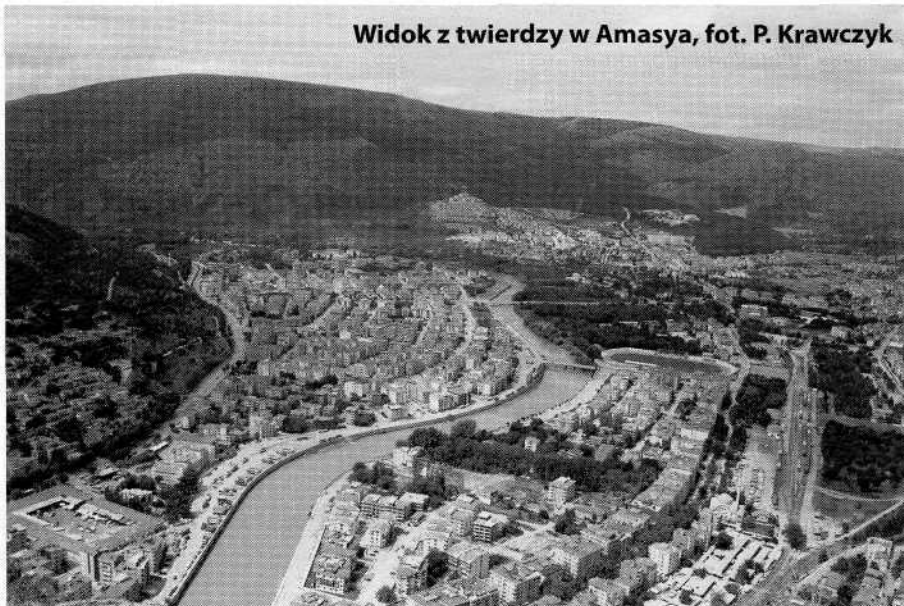
Klasztoru nie zniszczyli islamscy fanatycy. Ucierpiał po 1923 roku, kiedy przymusowo wysiedlono stąd do Grecji mieszkających w jego murach mnichów. Opowieść mówi, że odchodząc zostawili w skrytce kosztowności, które potajemnie wywieźli dopiero kilka lat później. Dzieła zniszczenia dokonali również niefrasobliwi tureccy i zachod-

ni „turyści”, przy milczącej zgodzie tureckiego państwa, działającego chyba w nadziei usunięcia pamięci o greckości tej ziemi. Ironią historii jest to, że tureckie państwo musi teraz klasztor remontować, aby turyści mieli do czego przyjeżdżać.

Nasza długa droga do domu prowadziła wybrzeżem Morza Czarne-go na zachód w kierunku największego czarnomorskiego tureckiego portu – Samsun. Gdy z okien autobusu patrzy się w morze na północ, ku Krymowi i Ukrainie, przypomina się historyczna ciekawostka dotycząca stosunków polsko-tureckich. Wybrzeże pontyjskie jest jedynym skrawkiem dzisiejszej Turcji, który ucierpiał od najazdu poddanych Rzeczypospolitej. W 1614 roku flotyła czajek kozaków zaporoskich przepłynęła Morze Czarne i znie-nacka ograbiła i spaliła Trabzon i Synopę, co wywołało w sułtańskiej Turcji prawdziwy szok. Sam pady-szach Ahmed I był mocno zasko-czony tak bezczelnym postępkiem. Aż dziw, że wojna między Polską a Turcją wybuchła dopiero w 1620 roku.

W środku gór, w samym sercu starożytnego Pontu, w dolinie rzeki Ysilirmak, która wielką pętlą otacza skaliste i strome wzgórza z bizanty-

Widok z twierdzy w Amasya, fot. P. Krawczyk



ską fortecą, leży Amasya – starożytna Amasea. Jeśli będziecie kiedyś w tej części świata odwiedzić ją koniecznie. Nasze najlepsze wspomnienia z tureckiej wyprawy wiążą się właśnie z tym miejscem. Już jadąc z dworca w poszukiwaniu hotelu byliśmy zagadywani przez miejscowych z dumą pokazujących na twierdzę i wykute w skale pod nią królewskie grobowce. Szczególnie możemy polecić restaurację nad rzeką przy moście na ulicy Elmasyie (poznacie łatwo po wieży z zegarem). Można tu na tarasie nad wodą posmakować dobre tureckie placki z mięsem, popijając je winem lub piwem i patrzeć wieczorem na pięknie oświetlony nadrzeczny bulwar z pomnikami sułtanów.

Miasto jest nieduże a przez to trochę kameralne i żyje głównie z przyjezdnych. Sułtani nie skąpili miastu swej specjalnej opieki – był to ważny ośrodek kulturalno-religijny imperium osmańskiego. Pięknie wyglądają szachulcowe stare domy zawieszone nad rzeką, wąskie ulice, niezliczone zabytkowe meczety i medresy, do których nie broni się wstępu niewiernym. Jeśli starczy wam cierpliwości możecie trafić jak my na sympatycznych mieszkańców, którzy poczęstują was świeżo upieczonymi podpłomykami.

Oczywiście przyciągnęły nas też grobowce królewskie wyryte w skale zamkowej wznoszącej się wysoko nad miasteczkiem, ale okazały się one ciekawsze z dołu i w nocnym oświetleniu niż z bliska. Całkowicie pozbawione oprawy z marmurowych portyków, zachowały się tylko wykute w wapieniu ponure jaskinie. Brak jakichkolwiek napisów uniemożliwiał nawet przypisanie grobowców konkretnym władcom i pozostały one całkowicie nieme.



Kurdyjska kobieta przygotowuje herbatę,
fot. M. Nowak

W III wieku p.n.e., w zamieszanym wojennym po śmierci Aleksandra Macedońskiego, pewien mało znany był tyran greckiej kolonii Kios, wydarł innym rywalom małe królestwo w nadmorskiej części Kapadocji i za poparciem miejscowych perskich wielmożów został Mitrydatesem I Założycielem. Stworzył państewko Pontu, którego Amasea długo była stolicą. Pozostałoby ono mało znaczącym drobiazgiem, ale w I wieku p.n.e. miało nieszczęście przapaść ambitnemu i zdolnemu władcy – Mitrydatesowi VI Eupatorowi. Kontynuując politykę ojca i dziadka zagarnął on niemal całą Azję Mniejszą, Krym, Kolchidę i część Armenii. Niestety tym samym stanął na drodze w głąb Azji rzymskiemu gigantowi i musiał ustąpić, choć walczył dzielnie i zawzięcie, aż do tragicznej samobójczej śmierci na Krymie. Jakże jednak mógł zwyciężyć, skoro przyszło mu walczyć z takimi wodzami jak Sulla, Lukullus

i Pompejusz Wielki. Losy i postać Mirydatesa, jego złożona osobowość, wykształcenie i polityka już w starożytności budziły zainteresowanie. Podobno był ulubioną postacią Ludwika XIV-go, a Mozart i Scarlatti pisali o nim opery.

Przez ruiny pałacu i resztki grobowców, z których żaden raczej nie mógł być miejscem spoczynku Mitrydatesa VI, nasza wycieczka dotarła w upalny jak zwykle dzień pod skalną ścianę, nad którą wznosił się już tylko antyczny akropol, a teraz trwała ruina amasyjskiej fortecy Bizantyjczyków. Krótka dyskusja i podjęta z marszu decyzja – ścianę da się przejść. Żeby nie iść 6 km dookoła góry postanowiliśmy zakończenie naszych tureckich wojaży uczcić jak przystało na turystów wysokogórskich. Tak dokonano (niestety nie pierwszego, wnioskując po puszkach po piwie) przejścia „wschodnią depresją południowej ściany amasyjskiej góry zamkowej”. Wyceniamy trudność drogi na przynajmniej II-gi stopień w skali tatrzańskiej, a ze względu na morderczy upał i wspinaczkę w sandałach nawet na III-ci. A co!

Wdrapawszy się przez dziurę w murze, zaskoczyliśmy nieco bojaźliwie spoglądających w przepaść turystów i nagrodzeni zostaliśmy pięknym widokiem na miasto i okoliczne góry. To był już koniec naszej przygody. Nie ma już co wspominać o dalszej niekończącej się drodze autobusem i nocy przespanej na ławkach ankarskiego lotniska. Myślę jednak, że to wystarczy i że po przeczytaniu tego tekstu tak jak my zmienicie nieco swój wizerunek Turcji. Przyznajcie, to była jakaś „nie taka Turcja”.

Fotografowali:

Małgorzata Truskowska, Michał Drożdż,
Paweł Krawczyk, Mariusz Nowak
i Piotr Paprzycki